



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Obrazy na wystawie zachęty sztuk pięknych w Warszawie. — Jeszcze kilka szczegółów z życia Rotszylda i Rosiniego. — Korespondencja z Paryża. — Przepaść dramat Dickensa. — Pogadanka tygodniowa. — Do Natali wiersz przez S. D. — Wiadomości bibliograficzne. — O ubiorach damskich. — Nowości zagraniczne.

OBRAZY

NA WYSTAWIE ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH
w Warszawie.

Obraz Matejki Zygmunt August i Barbara.

Pomiędzy wielu obrazami stanowiącymi chlubę dla naszych malarzy, obraz pana Matejki przedstawiający Zygmunta Augusta i Barbarę, zwraca szczególniej powszechną uwagę. Idąc za prądem ogólnego zdania skrzętnie przez pisma periodyczne podtrzymywanego, należałoby do pochwał szczerą sygnymy ręką, dorzucić kilka deklamacyjnych frazesów i tym sposobem przemknąć się zrecznie po śliskich szrankach krytyki, do jakiej każdy utwór wyższym nacechowany talentem ma prawo. Ale pan Matejko nie tego zapewne żąda od periodycznej prasy, za nadto już wysokie zdobył w sztuce stanowisko, za nadto wiele zyskał prawa do ogólnego szacunku i uwielbienia, aby nie miał być chętniejszy słowom szczerym i otwartym, niż ułożonym sztucznie według zdania z góry powziętego.

Jak tu jednak na słońcu gołem okiem wypatrywać plamy? — jak profanowi w sztuce nie umięjącemu jednej kreski porządnie narysować, na uznanych arcydziełach wyszukiwać skaz mikroskopowych, zwykle nawet przez krytykę nie roztrząsanych? Są jednak takie przekory literackie, dostrzegające żdziębelską niedokładność, a przymykające oczy na mistrzowskie rysy co wszystkich zachwycają. Są czasem chwile szczególniej zręczności i przeciwieństwa, domagające się gwałtem przemówienia innym głosem jak wszyscy, choćby tylko dla własnego siebie zadowolenia, choćby dla pokazania że się umie patrzeć, rozważać i sądzić. Pod wpływem dwóch tych pobudek, pragnę przedstawić pewne wątpliwości jakie mi się nasunęły przy pilnem rozważaniu nowej téj pracy p. Matejki. Jeżeli wskazówki i objaśnienia innych usuną je, głos mój nie będzie straconym, bo prawda zyska na tem.

Przedewszystkiem przypatrując się obrazowi pana Matejki, zapytywałem się sam siebie, dla czego nie robi wrażenia jakiego spodziewałyby się należało? — Dla czego odchodzi się od niego z zimną obojętnością, bez żalu porzucenia a powraca z pewnem jakby ociąganiem się? — Dla czego przy innych pracach p. Matejki, dzieje się przeciwnie, oczy same do nich idą, patrzą, łzawią się, smucą, a jednak nie mogą oderwać się i stoją przy nich jak przykute?

Miłość to przepaść, nieprzebrana skarbnica zachwyty, niewyczerpana w objawach, choćby na setki liczonych tysięcy. Jest to język który każdy rozumie, każdemu się podoba, każdy nim przemawia lub przemawia, dla czego więc przy tuląc się do kochanka Barbarze, przy tych na wpół przymkniętych oczach z pod powiek których zda się tryskać ogień zdolny spalić żelazo, Zygmunt wygląda tak jakoś sztywnie jakby w nim życia nie było? Dla czego zamiast patrzeć w swoją ukochaną dla której wszystko chciał poświęcić nawet blask najwyższej godności, dla czego czując niemal jej oddech, każde uderzenie serca, zda się być obojętnym, zimnym i patrzeć przed siebie spojrzeniem w którym nie widać miłości, ale jakby trwogę, i pewien niepokój niezgodny z położeniem w jakim się znajduje? — Czyżby artysta chciał przedstawić Barbarę już oderwaną od ziemi, którą wkrótce miała porzucić, a Zygmunta przewidującego troski i osamotnienie, jakie go po stracie ukochanej do końca żywota czekały? — Ale w takim razie, w Barbarze powinno być więcej niebiańskiego zachwyty a mniej ziemskiej potęgi, w Zygmuncie więcej siły i mękości a mniej miękkości kobiecej. Byłby wprawdzie w takim razie ideał nie rzeczywistość, ale zgodny ze sztuką obowiązującą wszystko podnosić do ideału, i z zadaniem jakiego artysta wziął do swojej pracy.

Światło także jakiego p. Matejko użył do oświetlenia Zygmunta i Barbary nie jest pewne, a przynajmniej niewyraźnie oznaczone od nocnej opony nieba, widzianego przez szeroko otwarte okno komnaty Radziwiłłowskiego zamku. Niebo zaś samo za nadto szafrowe, a gwiazdy białe, oznaczone farbą, z bielejącą się zdala brzezina, z białym wytryskiem wody z fontanny, z białym pływającym przy nim łabędziem, z białymi wreszcie fałdami ubrania wymykającymi się z pod opiecia rękawa Zygmunta, wyglądają patrząc szczególniej z pewnego oddalenia jak plamy na zniszczonym przez wilgoć obrazie. Stanąwszy dopiero blisko, poznaje się że to nie skazy na czem efekt wiele traci. Użycie jednej prawie farby do odznaczenia tak różnorodnych przedmiotów zdaje się że było niewłaściwem. Białosc brzozy jest inna jak łabędzia, inna jak fałdów batystowego rękawa a gwiazdy na niebie nie przedstawiają się nigdy białe, ale w barwie światła elektrycznego najwięcej zbliżonego do nich kolorem. W każdym razie użycie innej farby było koniecznem, tym bardziej że artysta za symbol starganej śmiercią miłości, postaci przez siebie przedstawionych, użył spadającego aerolitu, który przez wielu a nawet przez niektórych sprawozdawców pism periodycznych, wzięty

był za świecącego kometę. Ta niezgodność w oznaczeniu tego artystycznego dodatku, najlepiej dowodzi braku w nim wyrazistości, jakiej koloryt głównym zdaje się być powodem. Ma to zaś rzeczywiście być aerolit, bo takie objaśnienie udzielił nam osobiście sam p. Matejko.

Pomijając pływającego łabędzia, którego wędrówka nocna po stawie także jest nienaturalną, przestrzeń nieba posianego gwiazdami za nadto ciężka, jednostajna, nie ma koniecznego oddalenia, owęj eterycznej głębi co jasno świadczy o nieograniczonej niebios przepaści. Rozpostarte tu i owdzie chmurki, oświetlone blaskiem księżyca domyślnie znajdujące się po za ramami obrazu, odległość tę przestrzeń niebieskiej lepiejby uwydatniły.

Pan Matejko odrzucił te pomocnicze środki, czy na korzyść pracy swój? — jest to właśnie wątpliwość pomiędzy innemi nie ostatnie zajmująca miejsce. W pracach takiego artysty jak p. Matejko żaden szczegół lekceważonym być nie może, na każdym powinien odbić się talent, którym tak szczerze obdarzony został. Wszystkie bowiem stanowią całość, wszystkie wspomagając się, jednocząc, posługują do oddania głównej myśli, potęgując wrażenie odbierane przez widza.

Brak téj harmonji we wszystkich szczegółach przeciwnie zupełnie wywołuje następstwa i mimowoli zatrzymując oko na słabszych lub chybotliwych miejscach, prawdziwie pięknych i mistrzowskich nie pozwala właściwie ocenić. Może ktoś powie że wątpliwości przedstawione za wiele wymagają od artysty malarza. Być może, ale od tego co wiele może i wiele wymagać ma się prawo, a p. Matejko już dowiódł że tym domaganiem się nawet zbyt sformułowanym zadosyć uczynić jest w stanie. Od mistrza w każdym rysie jego, spodziewa się mistrzostwa, zawód więc w najmniejszym drobiazgu żal mimowoli obudza. Wreszcie arcydzieło każdy uzna choć inaczej oceni, choć inne pobudki swego zachwyty przedstawia; gdy w uznaniu tem jest pewna wątpliwość, przeważne przyczyny muszą być tego powodem i to w samym przedmiocie nie w sądzącym.

Oprócz obrazu p. Matejki, na Wystawie znajduje się dosyć prac innych naszych malarzy. O zasługujących najbliższe poznanie, damy sprawozdanie w następnych numerach, gdyż dział ten w piśmie naszym pragniemy stale utrzymywać.

J. K. G.

JESZCZE KILKA SZCZEGÓLÓW

z ŻYCIA

Rothszyllda i Rosinięgo.

Od miesiąca wszystkie dzienniki Paryżkie zajęte jeszcze Rothszyldem i Rosinięm. Po wystaniu sprawozdania naszego, znaleźliśmy niektóre szczegóły zasługujące na wzmiankę, posyłamy je więc jako dopełnienie.

Rodzina Rothszylców, jak mówiliśmy przebywała latem w Ferrières, w bliskości kolei północnej. Zobaczymy czem jest owa posiadłość stumiljonowego króla bankierów.

Majątek Ferrières składa się z szesnastu osobnych posiadłości (fermes); wartość jego oszacowana dwadzieścia dwa miliony franków. Ogromny park, zajmuje 1,500 morgów ziemi. W obszernym zamku mieści się trzydzieści trzy apartamenty.

Stu sześćdziesięciu służących różnych stopni, obsługuje ów zamek. Wspaniałe stajnie mieszczą w sobie, więcej niż sto cugowych koni. Dodajmy do tego pyszne ogrody warzywne i owocowe.

Zamek ten więcej wygodny niż piękny dla oka, według dowcipnej uwagi Francuzów, ma postać olbrzymiej skrzyni na pieniądze.

Wewnątrz za to urządzonego z nieporównanym gustem.

Ściany jego nie wylepione wprawdzie biletami bankowymi, ani mozaikowane dukatami, ale za to przybrane w arcydzieła sztuki malarskiej, które nie mniej zapewne kosztują. Jest to prawdziwe muzeum, wszelkiego rodzaju starożytności. Znaczący podziwiają szczególnie zbiór porcelany z wszystkich wieków. Podobnego zbioru nie ma Francja, a może i świat cały.

Ów zamek zajaśniał w całym blasku w r. 1862, kiedy Rothszylld przyjmował w nim cesarza Napoleona. Przyjęcie to, kosztowało dwa miliony franków. Obok wielkiego przepychu, zachowany tu był jednak pozór prostoty, wolny od wszelkiego wymuszenia.

Podczas uczty, chórzyci opery wykonali piękny chór strzelców, ułożony umyślnie przez Rosinięgo, na ową uroczystość.

Cesarz odjechał o szóstej wieczorem. Droga prowadząca od zamku do dworca, oświetloną była *a giorno*. Służby w bogatej liberji, i włościanie z całej majątności, stali dwoma rzędami z obu stron drogi, trzymając w ręku zapalone pochodnie.

Z powodu tego przyjęcia, dziennikarze przypominają przygody sławnego bankiera Bouret, pierwszego finansisty z czasów Ludwika XV. Monarchowie podówczas, nie zwykli byli ucztować u poddanych.

Dnia jednego, przedstawiono królowi bankiera tego, w parku Marly.

— Panie Bouret — rzekł król, mam ochotę skosztować brzoskwini z ogrodu twojego. Niezadługo odwiedź cię w twój letnięj willi.

Otóż Bouret nie posiadał wtedy żadnej willi. Kupił więc czempredźj Croix-Fontaine, zbudował pyszny zamek, wyrzucił złoto pełną garścią — nagromadził cuda — i oczekiwał przyjazdu królewskiego.

Później w Wersalu, otrzymał znów posłuchanie u Ludwika.

— Najjaśniejszy panie — rzekł bankier, brzoskwini już dojrzała... a ja czekam na przyrzeczone mi zaszczyt.

— Panie Bouret odparł król, przyjadę niezadługo i zapoluję w twoim parku.

Bouret miał zaledwie kilku zajęcy w całej swęj posiadłości. Nakupił też wielką moc wszelkiego rodzaju zwierzyny; spędził do zwierzyna mnóstwo sarn, jeleni i łosiów, wydał kilka kroć sto tysięcy na gończe psy i konie — wystroił chmary strzelców i oczekiwał przyjazdu królewskiego.

Po raz trzeci nakoniec sławny finansista przedstawił się królowi, i przypomniał mu z poszanowaniem obietnicę.

— Doktorzy zabronili mi polowanie — rzekł król, ale możesz pan zapewnić odemnie panią Bouret, że nie omieszkać i to wkrótce, spędzić wieczór w jej zamku.

I pokłonił się grzecznie bankierowi.

Otóż Bouret nie był żonatym. Ożenił się więc na prędcę, i oczekiwał przyjazdu królewskiego.

Oczekiwał go podobno aż do śmierci.

Rothszylld szczęśliwszym był od Boureta, cesarz Napoleon dotrzywał mu bowiem obietnicę.

W domowym życiu zmarły James Rothszylld okazywał wielkie zamiłowanie w prostocie. Widywano go codzień jak wychodził z domu, z parasolem pod pachą w razie deszczu, z grubą zaś laską podczas pogody. Nosił zawsze długi surdut i kapelusze z szerokim brzegiem. Tak ubrany wyglądał na burmistrza, albo na szlachcica wiejskiego.

Śniadanie jego składało się najczęściej z filiżanki czekolady lub herbaty. Pracował więcej niż którykolwiek z buhalterów w jego domu, to samo i dwaj jego synowie w tym samym kantorze pod baczno okiem ojca.

Do owego kantoru przyjmował z łatwością wszystkich interesantów, bez względu na ich stopnie. Nie lubił jednak, co się da łatwo wytłumaczyć, aby mu kto przerywał rozpoczęty rachunek. Kiedy kto przyszedł, mówił machinalnie „weź pan krzesło“ i prowadził dalej rozpoczętą robotę. Razu jednego przyszedł do kantoru jakiś hrabia.

— Weź pan krzesło — rzekł bankier — nie odwracając oczu z księgi.

— Panie baronie, jestem hrabia N. — rzekł przybyły — chcąc zaimponować tytułem i nazwiskiem.

— A! hrabia — odrzekł bankier — przepraszam, to weź pan dwa i rącz je zająć, i prowadził dalej rachunek.

Rothszylldowie, lubo nie chępli się z bogactw swoich, czuli jednak wielką przewagę jaką nadaje im majątek. Przed dwudziestu laty, kiedy synowie zmarłego, potrzebowali w najlepsze nauki, dziadek ich Salomon, brat Jakóba, a ojciec samęj pani Rothszylld, usiłował koniecznie skłonić uczonego Eichhafa, autora wielu dzieł znakomitych, żeby zajął się ich wychowaniem. Eichhof tłumaczył się że związany będąc z królem Ludwikiem Filipem, jako nauczyciel jego wnuków, nie może przyjąć nowego obowiązku.

Eichhof mimo szacunku jaki miał dla Rothszylldów — nie przyjął jednak ofiarowanego mu miejsca.

Testament Jakóba Rothszyllda, otworzony przed tygodniem w pałacu sprawiedliwości, świadczy o szerokim poglądzie wielkiego finansisty. Aby ułatwić i synom prowadzenie ogromnego domu, zapewnia on testamentem wszystkim komissantom, którzy od daty jego śmierci, pozostaną przez lat dziesięć na miejscach swoich, po dwa tysiące pięćset franków, dożywotniej pensji. Wynagrodzenie to prawdziwie królewskie. Każdy zapewne, wytrwa na stanowisku, o ile mu siły pozwolą.

W tymże testamencie — Rothszylld zapisuje 50,000 franków dla ubogich mieszkańców Paryża.

Nie podobna obliczyć wszystkich filantropijnych zakładów, jakie Paryż zawdzięcza tej rodzinie, kilka z nich pobieżnie wymienimy.

Fundacja Natalji Rothszylld, ma na celu opłatę komornego dla biednych robotników i ubogich starców.

Fundacja pani Rothszylld, dostarcza pomocy pieniężnej, bielizny, pieluch i powijaków, dla ubogich matek i nowonarodzonych niemowląt.

Fundacja Betty Rothszylld, rozdaje książeczki do kassy oszczędności, dzieciom ze szkół Izraelskiego wyznania.

Nakoniec *fundacja Alberta Rothszyllda*, ubiera dzieci po ochronach.

Oprócz tego Salomon Rothszylld założył dom dla sierot — zmarły zaś Jakób wybudował wspaniałą Synagogę.

Podczas zimy dom Rothszylldów, rozdaje bony na chleb dla ubogich — w tym roku rozdano już 30,000 bonów, jak to zapisały dzienniki.

Przejdźmy teraz do Rosinięgo. Z tysiąca powieści i anegdot krążących o wielkim mistrzu, zapisujemy tu jedną, świadczącą o potędze geniuszu jego. Było to w roku 1818. W Neapolu po raz pierwszy przedstawiono Mojżesza. Ale dekorator w tak

śmieszny sposób wykonał morze Czerwone; jego fale purpurowe tak dziwacznie wyglądały, że za odsłonięciem kurtyny, cały parter głośnym wybuchnął śmiechem.

Poeta, który napisał libretto nazwiskiem Totola, udał się nazajutrz z rana do Rosinięgo, zastał go jeszcze w łóżku.

— Mistrzu rzekł — ocaliłem morze Czerwone, ułożyłem modlitwę, którą mają śpiewać Hebrajczycy, przed pójściem w drogę. Pisałem ją tylko przez godzinę.

— A ja odrzekł Rosinię, przez kwadrans zaimponuję do niej muzykę.

I rzekłszy te słowa maestro wyskoczył z łóżka, usiadł przy stoliku tak jak był nieubrany, i w ciągu dziesięciu minut najwyżej, skomponował muzykę, bez fortepianu, podczas gdy kilku przyjaciół obecnych w pokoju, rozmawiało na głos obyczajem włochów.

— Oto masz muzykę rzekł do poety. I zwróciwszy się do przyjaciół, żartował sobie wraz z nimi z wystraszonej postawy Totola.

Nazajutrz w trzecim akcie opery, gdy nastąpiła chwila przejścia przez morze Czerwone, publiczność gotowa już była do śmiechu.

Ale kiedy Mojżesz zaintonował modlitwę, która stała się później tak sławną, nikt się wtedy nie śmiał i wszyscy przepomnieli o naiwności dekoratora. Sala aż się trzęsała od oklasków... Każdy z obecnych czuł się głęboko rozrzewniony i podniesiony w duchu.

Okoliczność ta przypomina inną, ściągającą się również do morza Czerwonego. Było to przed kilkunastą laty. Malarz jeden podjął się wykonać al fresco, na ścianach sali u jednego bankiera, przejście izraelitów przez morze Czerwone. Jakoż zabrał się gorliwie do pracy, przez parę tygodni, nie dopuszczał nikogo do siebie.

W krótkim czasie oznajmia bankierowi że robota skończona. Bankier w towarzystwie kilku znawców wchodzi do sali. Lecz jakże się zdziwił, kiedy widzi tylko pomalowane wody, wprawdzie nie purpurowe jak wody dekoratora włoskiego, lecz nużące oko samą jednostajnością.

— Widzę morze — ale gdzie Izraelici — zapytał bankier krzywiąc się niechętnie.

— Już przeszli — rzecze artysta.

— Dobrze więc — ale gdzie wojska Faraona.

— Wiadomo przecież że potonęły — ja właśnie obrałem tę chwilę.

Bankier pokręcił głową, znać chwila ta wcale nie przypadła mu do smaku.

Wróćmy jeszcze do włoskiego mistrza, a raczej do tych którzy oplakując jego skon, składają mu bezustanku hołdy czci i głębokiego uznania.

W dzień śmierci Rosinięgo, jedna z wielkich śpiewaczek, zażądała telegrafem z różnych okolic Włoch, owych pięknych fijołków co zakwitają o każdej porze na pagórkach Genui, Florencji i Romanji. Pierwszy transport nadszedł z Brescia, znakomita artystka pospieszyła z niemi do Passy, i rozsiała je po całym, pokrywającym zwłoki Rosinięgo.

Poczem uklękała u wezłowania, i modliła się długo z głębokim przejęciem. W następnych dniach nadeszły nowe fijołki z Pesaro i Bolonji, i taż sama ręka, posypała zwłoki drogiego mistrza.

Ta śpiewaczka jest sławna Albou, której śpiew przed laty kilkunastu zachwycał Paryż cały.

— Ja mu wszystkim zawdzięczać, mówiła do obecnych zalewając się łzami. Byłam dzieckiem, kiedy mnie zobaczył w Brescia, wtedy przepowiedział mi świetną przyszłość, jeśli zechcę słuchać z ufnością jego rady. Udałam się potem do Bolonji, tam nauczył mnie, jak powinnam używać głosu, który zjednał mi tyle oklasków. W Pesaro ukazał mi dom zajezdny, gdzie się urodził, opowiadał mi przygody lat dziecińczych. Dla tego to przynoszę mu kwiaty z Pesaro, z Bolonji i z Brescia.

Po chwili dodała jeszcze:

— Dawno już usunęłam się z desek teatralnych i ze świata. Naprawdę skłaniano mnie żebym wystąpiła w Desdemonie i w Semiramidzie. Ale mówią że głos mój zachował jeszcze dawną siłę, dawny wdzięk i świeżość. Otóż postaram się by mi pozwolono, w dzień pogrzebu w kościele, pożegnać raz ostatni tego, który był mistrzem moim i przyjacielem.

Tym to sposobem obok sławnej Adeliny Patti i równie prawie sławnej panny Nilson, Paryż usły-

szął po kilkonastoletnim milczeniu wielką śpiewaczkę Alboni, na żałobnym nabożeństwie przy zwłokach Rosiniego.

Niepodobna opisać, jakie wrażenie sprawił ten cudowny głos, od tak dawna niesłyszany, i całkiem nawet nieznaną młodej generacji.

Publiczność drżała ze wzruszenia. Słuchacze zaskakali ręce aby nie wybuchnąć grzmotem oklasków, któreby ubliżyły świętości miejsca.

Po pogrzebie Rosiniego, w czterech teatrach Paryżkich, poświęconych operze, przedstawiano arcydzieła zmarłego mistrza. Przy każdym przedstawieniu, popiersie jego wieńczono w kwiaty — a publiczność okrzykiem i oklaskami, brała udział w tak słusznej owacji.

We wszystkich miastach Włoskich, powtarzają się dotąd hołdy podobnego rodzaju.

Miasto Pesaro, kolebka Rosiniego, domaga się usilnie u pozostałej wdowy, aby pozwoliła zabrać zwłoki mistrza. Nie wiadomo jak się sprawa zakończy. Zdaje się jednak, że ciało pozostanie na cmentarzu Père la Chaise, taka była przynajmniej ostatnia wola Rosiniego, wyrażona w jego testamentie.

Korespondencja z Paryża.

Przed kilku miesiącami doniosłem już o narzekaniach w Paryżu na młodzież tegoczesną, szukającą w nauce nie mądrości podnoszącej człowieka coraz wyżej i wyżej, ale szczytów w przyszłości szafarki wszelkich łakoci i przyjemności życia. Zapobiegając temu szkodliwemu kierunkowi wychowania publicznego, z polecenia ministra oświecenia p. Duruy otworzoną została szkoła praktyczna wyższych nauk, do której liczba zapisujących okazała się większą nad wszelkie przypuszczenia. Dziś bowiem już obejmuje blisko dwustu uczniów, co nie małą jest rzeczą jeżeli zważymy, że chcąc z pożytkiem słuchać wykładanych w niej kursów, potrzeba być człowiekiem już znakomicie wykształconym, i to gruntownie i sumiennie. Nie jest to bowiem uniwersytet urządzony wedle pewnego systematu, z wykładem nauki otrząśniętej z hipotez, ale pracownia umysłu całego uczonego świata, w której postęp naukowy odbija się jak w zwierciadle, z wykazaniem wszystkich najdelikatniejszych włókienek, niby ssączki zapuszczanych przez badania, dociekania, domyslenia się w najskrytsze tajniki natury. Szkoła więc uczy pracy w dziedzinie mądrości, nie dla praktycznego jej zastosowania, ale dla lepienia cegiełek do wielkiego gmachu wiedzy, do przysparzania uczonych a nie umiejących. Dla tego też pomiędzy kandydatami znajdują się już ludzie posiadający stopnie naukowe doktorów, chlebobojne posady, słowem pewne już stanowisko w świecie; są także i cudzoziemcy. Organizacja podobnej szkoły to dla przyszłości skarb nieopłacony, im bowiem więcej uczonych tym postęp nauki większy, tym prawdziwa oświata dłuższym promieniem zataczać będzie koło swego panowania, tym więcej cała ludzkość będzie się podnosić i uszlachetniać. Dotąd uczone sam musieli sobie wystarczać, usuwać przeszkody, szukać środków jednoczenia się z pracami innych uczonych, sam obmyślać plan postępowania, starać się o pomoc stosowną, o źródła; była to więc trudność wielu zniechęcająca, a dla nie jednego trudną do pokonania. Dziś nowo otworzona szkoła usunie to wszystko i pracę ułatwi i nie jednego szczególnie z bogatszych, rzuci na pole nauki o czemby wprzód może nie pomyślał. Wprawdzie stowarzyszenia naukowe dzielna pod tym względem stanowiły pomoc, ale usługi ich więcej były zachęcające, więcej gromadzące wypadki dociekań naukowych, jak przyczyniające się do ich zdobyczy. Wreszcie głównie zajęte miejscowością w której działały, nie tyle im szło o postęp samej nauki, jak o rozszerzenie jej w społeczności dla której pracowały. Uczonym zaś żeby postęp nauki popychać, podnosić, żeby poczuć się jednostką w massie naukowej i oddychać jej atmosferą, trzeba uczyć się jak nim zostać, jak się uczy być medykiem, astronomem, prawnikiem i t. p.

Zostawiając przyszłości zbieranie owoców z nowo założonej szkoły, pragnę Was na chwilę zająć wy-

padkami badań archeologii przedhistorycznej niezmiernie ciekawej, bo zajmującej się dziejami ludzkości z dalekich niezmiernie czasów. Astronomja to światło w pochodzie cywilizacyjnym ludów, wykrywając prawa bez względu na uznaną powagę, pierwsza otworzyła wrota dla tej nauki nowoczesnych czasów. Ona to wykryła nieograniczoność przestrzeni i czasów; nieskończoność liczby światów, ulegających jedynym prawom, podległym jedynym siłom, pomiędzy dwiema ziemią z całą dumą ludzką na niej wylegającą się, jest zaledwie malutkim pyłkiem ginącym w ogromie stworzenia. Za astronomją poszła geologja i uderzywszy czarodziejską różdżką w posadę ziemską, dowiodła naukowo, że rośliny i zwierzęta poprzedziły człowieka na wiele miliardów lat, przed naznaczoną mu erą. Na tych dwóch posadach jak dwóch tronach, nakazujących prawdziwie panować nad błędem, oparła się archeologja przedhistoryczna, i zaczęła szperać w pokładach ziemi, wyszukując śladów bytności człowieka. Niepodobna nam przedstawiać wszystkich odkryć jakie poczyniła, ale były one niemałej wagi, skoro dostarczyły materiałów do wydania dzieła dla uczonego Boucher de Parthes p. t. Przemysł pierwotny, po ukazaniu się którego uczeni wszelkich narodowości, Francuzi, Niemcy, Anglicy, Duńczycy rzucili się do pilnych studji nad pierwotnymi ludami ziemi. Z ich to prac wynikło dowodne przekonanie, że człowiek zamieszkiwał ziemię przed wielu milionami lat, że był jego ograniczać powagą nietykalności do jakich kilku lub kilkunastu tysięcy lat, jest błędem nie mającym żadnej zasady.

Dowodów na to nie brakło, znaleziono je wszędzie zarówno w starym świecie jak nowym. Według nich to dzieje ludzkości przedhistorycznej podzieleno na cztery wielkie okresy: kamienia niegładzonego, kamienia gładzonego i okresy brązowy i żelazny.

Z każdego z tych okresów znaleziono naczynia i narzędzia wyrobione ręką ludzką, przejście więc z kamienia niegładzonego do wyrobów żelaznych było stopniowe, dowodzące postępu umysłowości ludzkiej, która rozwijając się wybijała cechę niestartą na wyrobach nawet codziennego użytku.

Co do samych szczątków ludzkich, do najważniejszych należy znaleziona szczeka ludzka z zębami, oszacowana na dziesięć tysięcy lat wieku; szkielet wydobyty z odsepów rzeki Missisipi najmnieją pięćdziesiąt tysięcy lat mający i szkielet odkryty w kopalniach kalifornijskich pod pięć różnymi pokładami ziemi.

PRZEPAŚĆ.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH I JEDENASTU OBRAZACH

PRZEZ

KAROLA DICKENS'A

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

(Dalszy ciąg)

OBRAZ PIĄTY.

Mały salonik poprzedzający sypialny pokój Ryszarda May.

Scena 1.

Ryszard May, Notaryusz, Sara, Sam.

NOTARYUSZ. (trzymając testament w rękę). Samie Spark i Saro Robson byliście przytomni sporządzeniu i odczytaniu niniejszego testamentu, czy więc chcecie zaświadczyć że jest on wyrażeniem wolnej woli testatora?

RYSZARD. Taka jest rzeczywistość ostatnia moja wola, wszak wiesz o tem dobrze poczciwy Samie.

SAM. Już to co do mnie chętnie zrobię czego pan żądaś, — ale przedewszystkiem muszę powiedzieć, że wszystko to nie miałyby miejsca, gdyby dawna nasza firma nie była zmieniona.

RYSZARD. (smutnie wstrząsając głową). Mój kochany, firma ta znowu niezadługo zostanie zmieniona.

SARA. Ach! nie mów pan tego.

RYSZARD. Saro! ty powijałaś mnie w powijaczki i pieluszki, gdy mnie przewożono do pomocniczego zakładu, niezadługo ubierzesz mnie na dalszą podróż... Rzecz też sama w gruncie, tylko inne suknie.

SARA. O! w pana wieku nie należy jeszcze nawet przypuszczać podobnej podróży.

RYSZARD. Darmo, moja dobra Saro! śmierć nie pyta o metrykę... Ale nie odpowiedziałas panu notaryuszowi, wszak gotowa jesteś zaświadczyć że testament ten jest wyrażeniem ostatniej woli mojej?

SARA. Dobrze już, dobrze; ale, przez litość, wracaj pan do łóżka, nie zapominaj że w nieobecności doktora, ja odpowiadam za ciebie.

RYSZARD. (do notaryusza) Czy akt skończony? czy mogę już podpisać?

NOTARYUSZ. Natychmiast, tylko dodam jeszcze wiadomą klauzulę.

RYSZARD. Więc teraz wszystko będzie w porządku mogę umierać spokojnie?

SARA. Umierać!

RYSZARD. (uśmiecha się do niej i zwolna odsuwa). Cicho Saro! nie przerywaj panu notaryuszowi.

Rozmawia cicho z notaryuszem piszącym ostatnie zastrzeżenie.

SAM. (zbliżając się do Sary). Otrzęj panna oczy, bo gdy widzę łzy twoje, serce mi się rozsadza jak zbyt pełna butelka.

SARA. Ach! panie Sam, litość bierze patrzeć na p. Ryszarda; taki młody a tak ogromnie się zmienił w przeciągu tych kilku dni.

SAM. (namyślając się i szukając słów).

Oj te zmiany! te zmiany! one to są powodem wszystkiego złego... jakby się zawzięli zmieniać i zmieniać wszystko, — do tego stopnia że i sam siebie poznać nie mogę... Czuję w sobie coś jak winna latorośl kiedy na wiosnę pokrywa się kwieciami, jak wino fermentujące w piwnicy, i dzieją się we mnie różne różności, których nawet nie przypuszczałem dawniej.

SARA. Cóż takiego, panie Sam?

SAM. (namyślając się). Czy widziałeś panna kiedy, beczkę porto przybywającą do doków.

SARA. Nie nigdy.

SAM. (z zapalem, słowa mu płyną). Nie ma wspanialszego widoku. Otóż ukazuje się naszym oczom owe stare porto, zawarte wraz z swymi wyziewami, w podwójnej drewnianej koszuli, przepasanej żelaznymi obręczami. Obręcze te, ulegając woli bednarza, jakby za dotknięciem czarnoksiężkielki laski, zaokrągliły się i objęły beczkę swym uściskiem; — a ona młoda, a stare w sobie zawierająca wino, pokazuje światu swe składnie utoczone klepki, i śmiało wyzywa wzrok najbieglejszego znawcy, nie obawiając się aby potrafił upatrzyć jakąś niedokładność. Ja ci to mówię, panno Saro, ja sam Spark stary sznur piwniczny, że od lat 35 nie zdarzyło mi się znaleźć nie równie doskonałego, — jak dobrze wykończona dębowa beczka.

SARA. No, więc cóż, panie Sam?

SAM. Więc! dziś i ja jestem zmieniony, nie przemierzając jak młody nasz pan, — nowe jakieś myśli kielkują w mojej głowie... tak Sam Spark czuje że fermentują tam jakieś nie z wina pochodzące wzywy, podnoszą się, naprężają... i korzystając z tego chęć ci...

NOTARYUSZ. (do Sary i Sama). Chciejcie teraz podpisać.

RYSZARD. Na ciebie kolęj, Saro.

Sara opuszcza Sama i zbliża się do biurka.

SAM. (zniechęcony). Co za szkoda! szło mi jak po maśle... czy wróci mi kiedy ta chwila natchnienia?... Przypomnijmy sobie co miałem jej powiedzieć. (Mówi z zapalem, jak gdyby Sara stała przed nim.) Panno Saro! od chwili gdy cię ujrzałem, przestałem być panem siebie, — nie mogę zbliżyć się do jakiegobądź beczki wina, aby cudna postać twoja nie stawała mi w oczach w pośród jej obręczy. Już to widzę maleńkie nóżki wykonywające zachwycające skoki, już znów... A muszę sobie to powtórzyć parę razy że-bym nie zapomniał... „Panno Saro, obręcze nówek twoich wkraczając w moje serce...”

SARA. (dotykając jego ramienia). Podpisz się pan.

SAM. Ach! zapomniałem.

SARA. Co?

SAM. Nic, nic, — nie bój się panna, ja sobie przypomnę.

SARA. (uśmiechając się). Sądzę że łatwo to panu przyjdzie.

RYSZARD. No, podpisz, Samie.

SAM. Zaraz młody panie, (na str.) ach! gdybyż to

szło o podpisanie naszej interczy, pewnie nie dałbym sobie dwa razy mówić o to.

(Podpisuje).

NOTARYUSZ. Dziękuję; — możesz odejść.

SAM. (obchodząc w koło Sary aby dojść do drzwi). Sliczna bestyjka!... a to jak utoczona... chyba się ośmielę... (wychodzi).

Scena 2.

Ryszard, Sara, Notaryusz.

RYSZARD. Saro! przypominam sobie że przed parą dniami nagle zesłałem... powiedz mi, proszę, czy to było zemdlecie czy atak...

SARA. Ależ panie...

RYSZARD. Saro! ja potrzebuję wiedzieć o tem.

SARA. A więc... był to atak...

RYSZARD. Wszak przed atakiem osłabłem i zacięło mi się w oczach.

SARA. Nie pytaj mnie pan... uspokój się proszę.

RYSZARD. Czuję że atak taki się zbliża. Saro jest ktoś z którym koniecznie muszę się widzieć, widzieć dziś, natychmiast.

SARA. Nie można, panie May trzeba czekać aż będziesz się miał lepiej.

RYSZARD (na stronie). Lepiej! gdy godziny życia mego policzone. (Głośno) Gdzie jest Jerzy.

SARA. U pana Szarlentag'a.

RYSZARD. U Szarlentag'a! O! to dobrze! Dobry, kochany Jerzy... On kocha tę słiczną Margaritę... ach! gdybym tylko mógł jeszcze dożyć chwili w której spełnią się najdroższe marzenia jego... gdybym tylko mógł być świadkiem jego szczęścia. (Do notariusza) Panie notariuszu, ponieważ jesteś sąsiadem Szarlentag'a, bądź łaskaw poprosić go i zaraz powiedzieć Jerzemu Leslie, aby zaraz przyszedł do mnie.

NOTARIUSZ. Najchętniej, wszak ci dwaj panowie są eksekutorami testamentu pana?

RYSZARD. Tak, ale niech przyjdą natychmiast... nie wiele już mam czasu.

NOTARIUSZ. Wracam do siebie, i zaraz ich panu przysię.

RYSZARD. Serdecznie panu dziękuję. (Notariusz wychodzi). Szarlentag! Szarlentag! koniecznie widzieć się z nim muszę!...

Scena 3.

Sara — Ryszard.

SARA. Panie Ryszardzie, zrobiłam wszystko coś żądał, w niczem nie sprzeciwiłam się twój woli, twoim dziwactwom nawet, czyż w zamian za tę uległość moją nie przychylił się do mój prośby?

RYSZARD. Czegoś żadasz, Saro?

SARA. Przejdź pan do swego pokoju i połóż się... tak jesteś osłabiony... jak przyjdzie doktor będzie się gniewać na mnie...

RYSZARD. Ach! on to właśnie jest powodem pogorszenia stanu mego zdrowia... on to przyspiesza chwilę mego skonu.

SARA. Panie Ryszardzie! jak możesz mówić coś podobnego! Pan Payne jest tak dobry, tak troskliwy o ciebie.

RYSZARD. I cóż mi z tego, kiedy on to właśnie opóźnia i utrudnia wszelkie poszukiwania moje, odrzuca napotykanne ślady, i tym sposobem uniemożliwia wszystkie zabiegi, przedsiębrane w celu odszukania prawdziwego spadkobiercy! Gdyby nie doktor, byłbym go już dawno wynalazł! ale nieznośny ten człowiek nie ufa ludziom, podejrzywa i oskarża bez powodu osobę, za którą wszystko zdaje się przemawiać... I dla tego to pragnęłam urzędowym aktem zapewnić wykonanie mój ostatniej woli; — gdy umrę, muszą mnie słuchać i spełnić rozporządzenia moje. Widzisz więc że doktor jest powodem wszystkiego złego, — nie umiał mnie pojąć. Mniemał że należy zwlekać, że czas wpłynie na postanowienia moje, dozwoli mi zapomnieć o obowiązku, a ja umieram żem go spełnić nie mógł! Z każdym dniem zwiększa się popełniona niesprawiedliwość, z każdym dniem staję się winniejszą względem człowieka, któremu nieprawnie zatrzymuję nazwisko i majątek. (Prawie do siebie). I czuć że on jest tak blisko... wiedzieć że z ręcznego badanie, kilka może szczyrych zapytań i odpowiedzi, mogłyby wyjaśnić wszystko... i nikt nie chce mi dopomóc!... (Do Sary). Wszak dziecię to zostało wywiezione do Szwajcarii?

SARA. Tak mówią.

RYSZARD. A adeptująca je kobieta nazywała się Miller.

SARA. Tak, wdowa Miller.

RYSZARD. Ktoś dzwoni; może to Jerzy albo pan Szarlentag.

SARA. Pójdę zobaczę (wychodzi na chwilę).

Scena 4.

RYSZARD, (sam). Szarlentag jest w moim wieku, nie jest pewny czy rodzice jego byli rzeczywiście jego rodzicami — tu pewno znajdę rozwiązanie zagadki. Tak... tak... Szarlentag jest niezawodnie synem tej ukochanej istoty, którą miałem za moją matkę... dziś jeszcze przekonam się o tem. Jerzy nie podziela nienawistnej pogardy jaką doktor uczuwa dla Szarlentag'a, Jerzy kocha jego wychowankę, on mi dopomocze... a za chwilę, gdy we trzech będziemy sami, bez świadków...

Scena 5.

Ryszard, Sara, potem Doktor Payne.

SARA, (wchodząc). Doktor Payne.

RYSZARD, (znieczepliwiony). Znowu on! nieszczęście nadało...

DOKTÓR. Jako wstałeś pan z łóżka pomimo iż najsurowiej zabroniłem ci tego? to już nadto...

RYSZARD. Daruj doktorze, interes nadzwyczaj ważny.

DOKTÓR. Nie ma nic ważniejszego nad zdrowie.

RYSZARD, (uśmiechając się smutnie). Ach! doktorze możeż że nawet mówić mi o zdrowiu!

DOKTÓR. Nie byłoby nic straconego, gdybyś pan tylko chciał wykonywać moje przepisy. Najpierw, wracaj mi pan zaraz do łóżka, — potem zobaczymy co będziemy robić.

SARA, (podając mu rękę). Proszę pana...

DOKTÓR. Ale nie odchodź, Saro, mam pomówić z tobą.

SARA. Dobrze, panie doktorze (do Ryszarda). Oprzeź się na mnie Ryszardzie, poprawiając się panie Ryszardzie....

RYSZARD, (biorąc jej rękę). O! mów prosto, Ryszardzie! przypomnia mi to dawne, dawne czasy... Pamięć stawia mi przed oczy ogród domu sierot, i wyraźnie przypominam sobie jak raz gdy byłem słaby, ty tak jak teraz prowadziłaś mnie po nim. Był to piękny majowy poranek, słońce jasnym przyświecało blaskiem; ptaszki świergotały nad naszymi głowami, a powietrze nasycone było jakąś upajającą wonią, sprawiającą mi zawrót głowy. Zwoleń kroku, zamknąłem oczy i silnie oparłem się na tobie... Czy przypominasz to sobie, Saro?.. Och! prawdę mówi Szarlentag...

DOKTÓR, (na str. z gniewem). Zawsze ma na ustach nazwisko tego człowieka!..

RYSZARD. Świat jest tak mały, tak ciasny, że jedne i też same osoby nie mogą się uniknąć i mimowolnie niustannie spotykają się z sobą. Otóż i my zeszliliśmy się znów po latach wielu, a patrząc na ciebie, i znów jak to bywało kiedyś, opierając się na twojem ramieniu, zdaje mi się że wszystko co zaszło od tej chwili snem jest tylko, że z domu sierot na świat zrobiłem wycieczkę, i znowu wrócę tam z tobą, wrócę umierać gdzie wzrosłem.

Opiera głowę na ramieniu Sary, i wolno idzie z nią ku drzwiom pokoju.

scena 6.

DOKTÓR, (sam, patrząc za odchodzącymi). A toż co?.. a toż co znowu?.. (Ociera oczy). Łzy... łzy w oczach doktora Payne!.. Coby na to powiedziało szanowne grono moich kolegów?.. (Prędko zażywając tabakę). Zatrzymajmy ślady też, chwytajmy prędko skalpel i zrobimy dyssekcję położenia. Najpierw zobaczymy co się tu działo podczas mojej nieobecności... biurko otwarte... brulion testamentu... ani wątpliwe że szlachetny ten szalenciec umyślnie mnie wyprawił żeby zrobić jakie głupstwo.

Prędko zamyka biurko, w chwili gdy Sara wchodzi na scenę.

Scena 7.

Doktor, — Sara.

SARA. Co panu, panie Doktorze?

DOKTÓR. Gniewam się, wściekam, rady sobie dać nie mogę.

SARA. Czemu?

DOKTÓR. Czemu? jeszcze się pyta!... Mam pacjenta, którego najtroskliwszymi otaczam staraniami, i kiedy przekonany jestem że spokojnie leży w ciepłym łóżku, zastaję go tu rozprawiającego o tem i owem, jak gdyby nie miał co lepszego do roboty. Często powtarzają że doktorzy zabijają swoich chorych, a ja ci mówię, Saro, że to chorzy zabijają doktorów! (Ocierając czoło). Widzisz cały jestem w potach, jeszcze nabawię się pleury!

SARA. Ach! panie doktorze.

DOKTÓR. Powiedz mi przynajmniej, jakież to są owe ważne interesa dla których pan Ryszard wstał z łóżka?

SARA. Zawsze jedne i też same. Skarży się bardzo na pana że z twojej winy nie wynalazł prawdziwego spadkobiercy, bo kiedy jeszcze miał siły po temu, przeszkadzałeś mu zawsze przedsięwzięć potrzebne poszukiwania.

DOKTÓR. Ja!... ja mu przeszkadzałem!... niech powie raczej że nie dozwoliłem mu popełnić kolosalnej niedorzeczności. A to mi dopiero pacjent jakiego nigdy dotąd nie miałem. Choroba jego zasadza się na tem, aby się dać obdrzeć pierwszemu lepszemu oszustowi i włóczędze... (na str.) Naprzykład panu Szarlentagowi. (Głośno) I jakież mam dać lekarstwo na podobną chorobę?... niech idzie do szpitala obłąkanych, ja nie leczę warjatów...

SARA. Co to panu szkodzi, panie doktorze, nie sprzeciwiaj mi się, potakuj jego przywidzieniom, to go uspokoi. Ach! gdybyś pan wiedział jak on się troska i cierpi!

DOKTÓR. Cóż robił w mojej nieobecności?... zastałem biurko otwarte... czyżby...

SARA. Posłał po notaryusza i w obecności dwóch świadków, Sama i mnie, podyktował mu swój testament.

DOKTÓR. (idąc ku niej z zaciśniętymi pięściami) Otóż to!... byłem tego pewny.

SARA. (odsuwając się) Panie doktorze.

DOKTÓR. I ma się rozumieć, że testamentem tym, przekazuje cały swój majątek zaginionemu człowiekowi, temu problematycznemu Ryszardowi May, którego pewnie nigdy w życiu nie zobaczymy?

SARA. Tak panie.

DOKTÓR. Dobrze, a potem? (Szarlentag ukazuje się we drzwiach).

SARA. Potem prosił notaryusza aby mu jak najprędzej przysłał tu współnika jego, pana Leslie i tego cudzoziemca pana Szarlentaga.

DOKTÓR. Pana Szarlentaga!... niech go raczej piekło pochłonie, niż miałbym dopuścić go do Ryszarda. Muszę zaraz...

Scena 8.

Ciz. — Szarlentag.

SZARLENTAG. Przez wzgląd na obecność, oszczędzaj mnie doktorze.

DOKTÓR. Pan tu?..

SZARLENTAG. Cóż dziwnego? przybywam na wezwanie przyjaciela mego, Ryszarda.

DOKTÓR. (na str.) Przeklęty człowiek! istny djabeł wcielony.

SZARLENTAG. Żądał abym przyszedł do niego z panem Les... chciałem powiedzieć z Jerzym, ale na nieszczęście opuścił mój dom właśnie przed nadejściem posłańca.

DOKTÓR (żywo). Daruj pan, ale Ryszard jest za nadto chory aby mógł cię przyjąć.

SZARLENTAG. (z niejaką wyniosłością). Panie doktorze, przychodzę tu na wezwanie Ryszarda i muszę się z nim widzieć.

DOKTÓR. Ależ panie...

SZARLENTAG. Doktorze Payne, jestem najzupełniej zdrow i bynajmniej nie potrzebuję zasięgać twojej rady.

DOKTÓR. Niestety! dobrych Bóg zabiera...

SZARLENTAG. A po złych djabeł się nie spieszy... wszak to chciałeś pan powiedzieć. (do Sary) Proszę zamelduj mnie panu May.

SARA. Dobrze panie.

DOKTÓR. Nie trzeba Saro, ja wprowadzę pana Szarlentaga, — chory przedewszystkiem należy do doktora.

SZARLENTAG. (z uśmiechem) Na nieszczęście...

DOKTÓR. Śmiej się pan, kiedy chcesz, ale nie pozwól ci widzieć się z nim sam na sam.

Wchodzą razem do pokoju Ryszarda.

Scena 9.

SARA. (sama) przesuwając fotel, stojący z przodu sceny) Mój Boże, co to z tego będzie?

Widoczna zmiana dekoracji.

O B R A Z S Z Ó S T Y.

Piwnice składu win. Widać sklepienia piwnic ginących w oddali i prowadzących do innych piwnic. Na prawo platforma i wschody prowadzące na drugi plan. Okno zakratowane, przez które wchodzi światło słoneczne. Na sklepieniu czerwona pleśń powstała z wyziewów porto, jest to rodzaj grzybów czyli narości, wyglądających jakby szkaradne jakieś krystalizacje. Na środku stoi beczka, na niej zapalona świeca.

Scena 1.

Sam, — Jerzy.

Za podniesieniem zasłony Sam stoi ze stoczkiem w ręku, z laską pomiarową i z książką rachunkową. Jerzy Leslie wchodzi przez arkadę z lewej strony, i zstępuje po wschodach aż na dół.

JERZY, (patrząc po za siebie). W domu taki rozruch i krętanina, że nie miałem odwagi wejść, nie zapowiada to nic dobrego... Nieszczęście przesładuje nas wszędzie... Zapewne biedny Ryszard miał nowy atak i wszyscy krzątają się około niego... a ja jego współtowarzysz, jego najlepszy przyjaciel, nie śmiem pójść do niego i mojem także otoczyć staraniem. Ach! bo lękam się aby nie wyczytał z mej twarzy przyniatającej mnie boleści... on by ją uczuł tak głęboko, a każde wzruszenie zabijającym, jest dla niego. Kochany, nieoceniony przyjaciel! on z zupełnem zaparciem siebie, myśli tylko o szczęściu innym. Teraz starajmy się zapanować nad sobą i zentrecz z czoła zniewagę, jaką je napiętnowała zuchwała odmowa Szarlentaga... starajmy się o podwojenie majątku mającego zapewnić mi rękę Margarity... a nadewszystko trzeba utaić smutek mój przed Ryszardem, bo tak silny cios mógłby go zabić... (Do Sama nadchodzącego z piwnic). A jesteś, stary szczerze!

SAM. Ja to raczej powinienbym zawołać: Ach! jesteś młody panie! Cóż dziwnego spotkać mnie w pośród beczek, sondującego wino, przyglądającego się jego robieniu i obliczającego wiernie ile go pozostaje w beczkach — ale od czasu śmierci „Parkinsa siostrzeńca“, spotkać w piwnicach którego z nowych właścicieli zakładu, to rzecz tak niesłychana, iż możnaby ją kredą zapisać w kominie.

JERZY. Zawsze żałujesz dawnych panów.

SAM. Zdaje mi się, nowy mój panie, że zawsze i wszędzie należy żałować ludzi poczciwych — i to także rzadkość nie lada.

JERZY. Mam nadzieję że kiedyś i nas żałować tak będziesz?

SAM. O! panie Jerzy, byłoby to przeciwne zwykłemu porządkowi rzeczy; panowie to przeciwnie powinniście mnie żałować, bo jako znacznie starszy wpierw skwaśnieję i z piwnicy zostaną usunięty. Ale prawda, tak tu wszystko zmieniacie, że nareszcie zmienicie może i prawo natury.

JERZY. No, nie mruż, nie mruż stary.

SAM. To nie ja mrużę, to wino fermentuje; ja tylko mówię panu że wraz ze zmianą stariej naszej firmy domu, szczęście odwróciło się od nas.

JERZY. Przesady! niedorzeczności!

SAM. Łatwo to powiedzieć przesady, i naturalnie w ślad za niemi idą niedorzeczności; — ale ja nie darmo trzydzieści pięć lat życia pleśnieję w tych piwnicach, abym nie miał wiedzieć co się dzieje na świecie.

JERZY. A to coś ciekawego, upraszam o rozwiązanie zagadki.

SAM. To co się dzieje tu w piwnicy, jest dla mnie miarą i wróżbą losów świata. Spójrz pan na te sklepienia, na te szeregi różnorodnych beczek, — przemawiają one wyraźną, zrozumiałą dla mnie mową, a wydzielające się z win tych wyziewy, rozpowiadają mi światowe zdarzenia i pogłoski. Gdy uczestniczy wrzaskliwych meetingów wydamują kraty Hyde-Parku, trzeba staremu porto dodać powietrza i uchylić czop, aby nie rozsądziło beczki; gdy wino śpiewa w butelkach, rok będzie wesoły i urodzajny; gdy syczy i ucieka z beczki — to zapowiedź strasznych nieszczęść na morzu; gdy mruży i kręci się w lejku,

wojna, głód i nieurodzaj. Nie śmieć się pan, to prawda niezawodna.

JERZY, (który wziął linijkę od wymiaru win i przesuwania po narościach sklepienia). Czy i te klejowate naroście objawiają ci także jakieś przepowiednie?

SAM. Ma się rozumieć, i mamy nawet swoje legendy o tych fungach, którem pan jakąś barbarzyńską nadajesz nazwę.

JERZY, (ciągle poruszając fungi). Wszak piwnice nasze słyną z tej starej pleśni, — z fungów chciałem powiedzieć?

SAM. A słyną panie Jerzy, — ale chciój mi wierzyć, daj im święty pokój.

JERZY. A toż znów dla czego? jeśli wolno zapytać?

SAM. Dla trzech przyczyn, jeśli łaska.

JERZY. Oho! jest aż trzy... to coś jak czarownicy Mackbeta... A najpierwsza niezawodnie przyczyna, żeby... nie ruszać twoich fungów?

SAM. Najpierwsza przyczyna: że tworzą się z wyziewów wina porto i nie radzę panu próbować wchłaniać je w siebie.

JERZY, (nie przestając poruszać pleśni). No, a druga?

SAM. Druga, że w pierwszym stopniu tworzenia się napełnione są robakami i... mógłbyś pan łatwo obsypać się niemi.

JERZY, (odskakując i wskazując fungi końcem swęj linijki). Więc to są robaki?

SAM, (podnosząc świecę i przypatrując się). Te to, nie, młody panie, utworzyły się już na warstwie pokrywającej robaki. (Jerzy znowu porusza pleśń). Ale dajże im pan pokój.

JERZY. Czemu?

SAM. Z powodu trzeciej przyczyny, której nie wymieniałem ci jeszcze, młody panie.

JERZY. A tą trzecią przyczyną jest?..

SAM, (tajemniczo). Legenda naszych piwnic.

JERZY. Ciekawym tej legendy.

SAM. Najpierw, przypatrz się pan kolorowi fungów.

JERZY. Przypatruję się.

SAM. Nie jestże to podobne do z siadłej krwi?

JERZY. Dostyc.

SAM. O! panie Jerzy, więcej jak dostyc.

JERZY. No, niechże będzie bardzo, nawet nadzwyczajnie, — tylko mów dalej.

SAM. A więc, panie Jerzy, mówią...

JERZY. Kto mówi?

SAM. Ktoś?.. nieznajomy, który zna wszystko, wie co się dzieje a nawet i co się nie dzieje. Alboż ja wiem kto taki? skądże ja mogę wiedzieć jak się ten ktoś nazywa, kiedy pan sam tego nie wiesz?..

JERZY. Doskonały argument! no, cóż dalej!..

(W tej chwili Szarlentag ukazuje się przy wejściu do piwnic, na najwyższym wschodzie i zstępuje powoli. Zbliża się po trochu tak że ani Jerzy ani Sam wcale go nie postrzegli.)

SAM, (powoli, sentencyonalnie) Mówią tedy, panie Jerzy, że człowiek któremu wypadkiem jedna z tych fungów spadnie na piersi...

JERZY, (powtarzając słowa Sama tymże powolnie sentencyonalnym a nadto tajemniczym tonem) Na piersi...

SAM, (j. w.) Bez wątpienia i najniezawodniej...

JERZY, (j. w.) Bez wątpienia i najniezawodniej...

SAM. Zostanie zamordowany w przeciągu roku. (Nagle z krzykiem przerażenia) O nieba! kawałek spadł na piersi pana.

JERZY. Na mnie? a prawda, no już leży na ziemi.

Postępuje krok naprzód.

SAM, (prysuwa swoją świecę i pokazuje szeroką czerwoną plamę na kamizelce Jerzego) Ach! na piersiach plama czerwona jak krew.

Scena 2.

Ciz, Szarlentag.

SZARLENTAG. Jerzy!

JERZY. Czego pan chcesz odemnie?

SZARLENTAG! Przychodzę spełnić smutne postanowienie. Teraz więcej niż kiedykolwiek będziesz potrzebował przyjaciela pełnego nieograniczonego poświęcenia — chcę stać się nim dla ciebie. Żałuję mocno że rano tak szorstko odmówiłem twój prośbie; przepraszam cię, Jerzy, i proszę o przebaczenie.

JERZY. Przebaczam ci.

SZARLENTAG. Czy nie podasz mi ręki?

JERZY, (podając rękę). Jeśli tego żądasz. Ach! (Prędko usuwa rękę).

SZARLENTAG. Co ci się stało?

JERZY. Ręka twoja zimna jak lód.

SZARLENTAG. Znasz przysłowie: Zimne ręce, go-

rać serce.“ Jerzy smutny powód sprowadza mnie tutaj, i nakazuje mi znowu ofiarować ci przyjaźń moją.

JERZY. Cóż to za powód.

SZARLENTAG. Jestem zwiastunem nieszczęścia.

SAM, (n. str). Wyziewy je zapowiadały.

JERZY, (szuka myślą, nareszcie odgaduje po części, wydaje krzyk i mówi). Ach! chodzi o Ryszarda.

SZARLENTAG. Tak jest.

JERZY. Cóż się stało? czy jest gorzej? czy nie ma już nadziei.

SZARLENTAG. Żadnej.

JERZY. Żadnej! to niepodobna...

SZARLENTAG, (porywając go za rękę i przyciągając do siebie). Odwagi, kochany Jerzy!

JERZY. Ach! on...

SZARLENTAG. Nie żyje!

JERZY, (wyrwując się idzie do Sama i zaczyna go ścisnąć). Mój biedny Ryszard! mój najlepszy przyjaciel!

SAM, (płacząc). Młody panie!..

JERZY. Ach! Samie, któżby przypuścił przed chwilą że zabobonne przepowiednie twoje tak okropnie się sprawdzą! (Pokazując czerwoną plamę na piersiach). Plama ta rzeczywiście śmierć zapowiadała.

SAM, (patrząc na Szarlentaga). Panie Jerzy, ja nie tylko o śmierci, ale i o morderstwie mówiłem.

Szarlentag postrzeżę plamę i zatrzymując się dotyka jej palcem. Sam przesuwając Jerzego i staje między nim a Szarlentagiem.

A k t 3.

O B R A Z S I Ó D M Y.

Wnętrze kantoru składu win. Na lewo bióro; — w głębi kassa. Za biórem drzwi wchodowe. Na prawo wysoki pulpit nad którym zawieszony jest portret „zawołowanej damy“. Po scenie porozrucane kosze i paki wina.

scena 1.

Jerzy, — Sara.

Jerzy w żałobnym ubraniu siedzi przy biurku na lewo. Sara stoi przed nim.

JERZY, (do Sary). Więc w ostatniej życia chwili, jeszcze myślał o mnie. Dobry, kochany Ryszard!

SARA. Skonał wymawiając imię pana. Jak tylko zobaczyłam p. Szarlentaga, straszne przecucie ścisnęło mi serce; mieliście panowie przyjść razem, tymczasem wszedł sam, szyderski jak zazwyczaj, z owym dziwnym, właściwym mu i znanym panu uśmiechem. Doktor, który właśnie nie wiele przedtem przyszedł, nie chciał dozwolić aby p. Szarlentag sam wszedł do p. Ryszarda, poszedł więc z nim razem chcąc być świadkiem ich rozmowy. Wiedzioną niewypowiedzianą obawą, sama nie wiedząc co robię, podeszłam pod drzwi oszklone, leżące, jak panu wiadomo wprost łóżka na którym leżał biedny pan Ryszard, i z tamtąd widziałam i słyszałam wszystko. Doktor przysunął się, ale chory odepchnął go, uważał bowiem że z jego winy umierał, ponieważ przeszkadzał mu w spełnieniu świętego, jak mówił, obowiązku. Zobaczywszy p. Szarlentaga, chory wlepił w niego błyszczące gorączką oczy, magnetycznie wywierając jakiś wpływ przyciągający; — wtedy, jakby niewidzialną usunięty ręką, szyderski uśmiech ustąpił z ust p. Szarlentaga, mimowolnie kornie pochylił głowę, wyciągnął rękę i w tej postawie zbliżył się do łóżka. Ryszard — o pozwól mi pan nazywać go tak jak kiedyś nazywałam i jak zawsze nazywać go będzie serce moje — Ryszard podniósł się ostatniem wysileniem, i uchwycił jego rękę... chciał coś mówić, ale daremnie, w piersiach zbrakło mu głosu. Ścisnął tylko w swych dłoniach rękę p. Szarlentaga, i powiódł niespokojnem wejrzeniem na doktora i na drzwi. Jerzy, gdzie Jerzy? zawołał nareszcie. Doktor podbiegł ku niemu, ale i teraz go odsunął i p. Szarlentaga pociągnął w objęcia. Kochaj go, wyjął, ty który jesteś... który musisz być... I były to ostatnie jego słowa... głowa ciężko opadła na piersi, aby nie podnieść się już nigdy.

JERZY. A ja nie byłem przy nim... Ryszardzie! najlepszy przyjacielu!.. bracie mój ukochany.

SARA. Pan Szarlentag zaledwie zdołał wydobyć swą rękę z tego śmiertelnego uścisku; wtedy doktor pochwyił ją zaraz... ale była martwa, — piękna dusza Ryszarda uleciała już w niebiosa.

JERZY. Ostatnią więc myślą jego, była myśl

o mojem szczęściu. Chciał zapewnić małżeństwo moje z Margaritą... chciał abyśmy byli przyjaciółmi.

SARA. Tak samo widać i p. Szarlentag zrozumiał jego słowa, bo odchodząc od łóżka, rzekł: Ryszardzie, spełnij ostatnie życzenia twoje... zastąpię Jerzemu ciebie, nie odstąpię nigdy... a teraz przyjmując smutne posłannictwo idę zwiastować mu śmierć twoją.

JERZY. I święcie dotrzymał słowa... od tej chwili stał się najlepszym moim przyjacielem. (Dzwoni do drzwi) któż tam?...

scena 2.

C i ż, — S a m.

SAM, (wsadzając głowę przez drzwi na w pół otwarte). To ja, młody panie.

JERZY. Chodź, ale zaczekaj trochę. (do Sary). Więc to jest kopia testamentu który ty i Sam podpisałeś jako świadkowie.

SARA, (z westchnieniem). Tak, panie Jerzy.

SAM, (także z westchnieniem). Tak.

JERZY. I ja także, przysięgam, że ostatnie życzenie twoje będzie spełnionem. Ryszardzie! przysięgam że wynajdę człowieka którego ty, biedny przyjacielu mój, szukałeś daremnie, i oddam mu pozostawiony przez ciebie majątek, choćbym mój własny miał stracić w tym celu.

SAM, (na str. dotykając palcem czoła). A la Boga! znowu i temu młodemu panu brakuje jakiejś klepki... trzeba by go koniecznie choć na sześć miesięcy wsadzić do piwnicy.

JERZY. Czegóż chciałeś, Samie?

SAM, (podając mu list). List ze Szwajcarii, panie Jerzy. A to istne skarcie boże; od jakiegoś czasu zawsze tylko Szwajcarija na porządku dziennym... Spodkobierca w Szwajcarii... przyjaciele Szwajcarowie... szampan ze Szwajcarii... biedny młody pan! biedniż my wszyscy... (Jerzy czyta list. Sam zbliża się do Sary idącej ku drzwiom na prawo). Czy uspokoiłaś się już panna nieco, po świeżo przebytej boleści?

SARA. Trzeba umieć poddawać się wyrokowi Opatrzności, panie Sam; doświadczenie uczy nas tej smutnej nauki życia na tym padole płaczu. (Wychodzi powoli, Sam ściga ją wzrokiem).

scena 3.

S a m, — J e r z y.

SAM. Co za wspaniały sposób wyrażania swych myśli! (Z przekonaniem). Nie, nikt drugi nie potrafi poszczycić się taką wymową! Muszę to sobie powtórzyć dla pamięci. Trzeba umieć poddawać się smutnej nauce panie Sam, jest to jeden z doświadczonek wyroków tego padole płaczu!.. Jakie głębokie zdanie! Co za pewność siebie.

JERZY. (rzucając list z gniewem). Znowu nowe strapienie! tak znaczna strata pieniędzy! i to w chwili kiedy majątek potrzebniejszy mi jak kiedykolwiek, abym mógł dojść do zamierzonego podwójnego celu.

SAM. Nowy jakiś sęk, panie Jerzy.

JERZY. I nie lada sęk, mój stary: ubytek 500 funtów sterlingów.

SAM. Nie dziwi mnie to wcale... nie mnie już nie dziwi... wszystko idzie coraz gorzej. Powiedziałem ci nie raz, młody panie, że szczęście ucieka od nas, i trzeba mieć mocne nogi i spryt nie lada, aby go dognać i zawrócić. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale chciał mi pan wierzyć... (Jerzy wzrusza ramionami idzie do pulpitu na prawo, aby porównać list odebrany, z korespondencją zagraniczną zamieszczoną w księdze). O! nie pozbędziesz mnie się tak łatwo, młody panie; łatwo to ruszać ramionami i odpychać darmo dawane rady, ale ja nie poprzestaną na tem, nowe nieszczęście spada na nasz dom, nie masz pan prawa pozbawiać mnie należnej mi części... Otwórz przedemną serce, panie Jerzy, zruci z niego na moje barki przygniatający je ciężar... Nic pan nie mówisz?... tak to?... otóż odgaduję co to takiego... Chodzi o ten przeklęty szwajcarski szampan.

JERZY. Niech go djabli porwą!

SAM. Djabeł tu przyniósł. To rzecz niesłychana, za czasów Parkinsa siostrzeńca, kiedy szczęście chodzą z nami w parze, podobne omyłki nigdy się nie przytrafiały. Przysyłają panu transport szampańskiego, pan odsyłaż należność; we dwa miesiące potem przysyłają rachunek, odpowiadasz pan że należność

już zapłacona, i znowu piszą że nie odebrali pieniędzy, i znowu pan odpisujesz że posiadasz kwit... I oto znowu trzeci list nadchodzi, jak owa trzecia czarownica Mackbeta o której mówiłeś pan niedawno... i założyłbym się że mieści w sobie zaródki tylu kłopotów, ile w koszu jaj, mieści się kurczątki w zarodzie. No, cóż, młody panie, wszak prawdę mówię?

JERZY. Tak, niestety!... ale idź już sobie, zostaw mnie w spokoju.

SAM. Pójdę sobie i zostawię cię, młody panie, ale nie w spokoju... przed odejściem pozwolę sobie powtórzyć panu wzniosłe słowa, wyszłe z anielskich ust panny Sary. Trzeba żeby nauka poddała się naszym wyrokowi, takie jest smutne doświadczenie Opatrzności na tym padole płaczu!... A co! jaka wspaniała myśl!.. (Wychodzi).

scena 4.

JERZY. (sam) Przeklęty list! to rzecz nie do uwierzenia!.. (Czyta).

„Panie, w nieobecności mego współnika, podróżującego obecnie w interesach naszego domu, mam zaszczepić odpowiedzieć na list pana z d. 10 b. m. Kwit, którego przesłałeś nam pan kopię, jest niezawodnie sfałszowany, albowiem nigdy nie odebraliśmy wiadomych 500 f. szt. a tymsamem i nie wysłałiśmy żadnego pokwitowania; nie ma zatem wątpliwości że pieniądze zostały przejęte i skradzione w drodze z Londynu do Neufschatelu. Podejrzenia nasze padają na człowieka dość już dawno zostającego w usługach naszego domu, ale który obecnie ściga je na siebie i uprawdopodobnia, nieczem nie usprawiedliwionym zbytkiem. Pojmiesz pan łatwo powody zmuszające nas do zamoczenia jego nazwiska, dopóki nie pozyskamy wiarogodnych dowodów i dla tego upraszamy pana, abyś jak najspieszniej przysłał posiadany kwit oryginalny, żebyśmy mogli porównać go z innym, znajdującym się w naszych księgach. Racz pan nie przysyłać pocztą, aby znowu nie przejął go jakiś niewierny posłaniec, jak to obecnie miało miejsce z pieniędzmi, najlepiej doręcz nam go pan przez kogoś godnego zaufania, któremu wierzysz jak samemu sobie, ale koniecznie przez kogoś należącego do twojego domu, — nie powierzaj pan kwitu nikomu z obcych osób, choćby nawet najlepszemu przyjacielowi. Zrozumiesz pan ważność tego zalecenia, gdy już będziemy mogli wymienić ci winnego ale nie zapominaj ani na chwilę, że pomyślny skutek zależeć będzie od bezwzględnej tajemnicy i skrypatnego wykonania wyż zaleconego ultimatum! (składając list). Wyborni są ci panowie! i skąd tu wziąć tak zaufanego człowieka... w całym biurze nie mam nikogo coby mógł odbyć tę podróż... (Pukanie do drzwi) Proszę wejść!

SAM, (za sceną) Nie ma pana w domu.

SZARLENTAG, (za sceną). Przecie powiedział że możesz wejść (wpycha go na scenę).

scena 5.

J e r z y. — S a m. — S z a r l e n t a g.

JERZY. Cóż tam znowu?

SAM. A nic dobrego, młody panie.

SZARLENTAG. Co mówisz?

SAM. (nie odpowiadając mu) To ten szwajcarski cudzoziemiec wszedł tu gwałtem.

SZARLENTAG. Szwajcarski cudzoziemiec! Cóż u licha! czy nie możesz przecie nauczyć się wymawiać mego nazwiska: Szarlentag.

SAM. Szarlantan, dobrze panie teraz już będę wiedział.

SZARLENTAG. Niedołęga!

(Przechodzi i w głębi na kasie kładzie kapelusz.)

SAM. (na str.) Nie tak bardzo jak myślisz, mój mosanie, — poznałem ja dobrze co ty za ziółko.

JERZY. (wstając) Wszak nie weźmiesz mi za złe, Karolu, mam bardzo ważny interes do załatwienia, ale służę ci za chwilę. Oto masz dzisiejszy *Times*, może przeczujesz?

SZARLENTAG. (biorąc gazetę i zasiadając) Kończ, proszę cię, nie zważaj na mnie... (Wyjmując oygarniczkę) wszak mogę palić?

JERZY. (wracając do biórka). I owszem. Sam! daj ognia!

SAM, (podając Szarlentagowi zapaloną zapałkę). Czuję siarką: będzie w swoim żywiole. (Odchodzi zwolna podczas gdy Szarlentag zapala cygaro). Ni ztąd ni z owąd znalazł się w piwnicach w dniu kiedy fun-

gus zaznaczył krwistą plamę na piersiach pana Jerzego; — dziś znowu wkręcił się tu gwałtem, prawie w chwili gdy nadszedł ów przeklęty list z jego szarłantskiego kraju... Ach! to istny zły duch szerczący w około siebie nieszczęścia i kłopoty, ten pan, Szarlantan. (Wychodzi, zamykając drzwi za sobą).

scena 6.

J e r z y, S z a r l e n t a g.

SZARLENTAG. Czy nie mógłbym być ci w czem pomocnym?

JERZY. Ach! mój przyjacielu w okropnym jestem kłopotcie.

SZARLENTAG. A ja nic o tem nie wiem?.. Cóż to jest takiego?

JERZY. Skradziono nam 500 funt: sterlingów.

SZARLENTAG, (dotknięty). Pięćset funt: szterlingów!

JERZY. Tak pięćset funt: przesłanych akonto należności jednemu z naszych dostawców, zostały zatrzymane w drodze, a złodziej... (powstrzymany ruch Szarlentaga) tak jest zuchwały iż doręczył nam nawet pokwitowanie — ma się rozumieć sfałszowane.

SZARLENTAG. (zaledwie mogąc zapanować nad sobą, zmusza się do uśmiechu). Złodziejstwo! sfałszowanie podpisu! to rzecz nadzwyczaj ważna... czy zastanowiłeś się, mój Jerzy, jakie to straszne oskarżenie?..

JERZY. Objawione przez mego korespondenta. Wprawdzie nie wymienia nazwiska, ale o ile się zdaje, jest mu wiadome...

SZARLENTAG, (przerwijając). Komu?..

JERZY. Memu korespondentowi. Ale prawda, wszak ty go znasz dobrze Karolu, i może będziesz mógł ułatwić nam wykrycie winnego.

SZARLENTAG. Ja!

JERZY, (podając mu list). Wszak jesteś komissantem ich domu, przeczytaj, a może odgadniesz kogo posądzają. (Szarlentag bierze list, wlepia w niego oczy, ale nie może czytać).

SZARLENTAG, (jąkając się). A owo... po... po... pokwitowanie?

JERZY. Z fałszowanym podpisem?

SZAR, (z gwałtownym wysileniem). Tak.

JERZY. Mam je w kasie, razem z innymi kwitami.

SZAR. Tam?

JERZY. Muszę go odłożyć. (Jednocześnie bierze z biórka pęk kluczy, idzie i otwiera kasę).

SZAR, (na str: ocierając czoło zalane potem). Wszystkie się wykryje!.. shańbiony!.. zgubiony!.. Ach! Margarito!.. (Rzucając na Jerzego wejście dzikiej nienawisici). A wszystko to przez niego... czy rzeczywiście jest tam kwit sfałszowany przezemnie?.. Czy zdołam go odebrać?.. Ach! jeśli tylko wyjmie go z kassy... Bezrozumny!..

JERZY, (oddzielając kwit). O to kwit sfałszowany.

SZAR, (na str. z dzikim ruchem chce rzucić się na Jerzego). Ach! mam go!

scena 7.

C i ż, S a m.

SAM, (na gło ukazuje się w progu drzwi). Pan mnie wołałeś, panie Jerzy. (Wlepia wzrok w Szarlentaga, który nagle się zatrzymał).

JERZY. Ja! śniło ci się chyba. Idź sobie i pilnuj żeby nam kto nie przeszkodził.

SAM, (na str. stawiając w samych drzwiach kosz od wina). O teraz już się drzwi nie zamkną.

Wychodzi, nie spuszczać oczu z Szarlentaga, który wsparł się o pulpit i zdaje się zatopiony w liście.

scena 8.

S z a r l e n t a g, — J e r z y.

SZARLENTAG. (odyskując zimną krew, i patrząc z pod oka za wychodzącym Samem) Szalony! cóż chciałem uczynić?... Ten niedołęga mnie ocalił!.. Nie! tu nie gwałtu użyć należy, ale...

JERZY. (chowa do biórka kwit wyjęty z kassy, i kładzie klucze do kieszeni.) Cóż, przeczytałeś?

SZARLENTAG. (śledzący jego ruchy.) Tak.

JERZY. I cóż mówisz na to?

SZARLENTAG. Nie umiem wyrazić jak dalece mnie to dziwi, a co gorzej martwi, — bo dla ciebie może stać się źródłem wielu nieprzyjemności, a mnie znowu w fałszywym stawia położeniu.

JERZY. Ciebie?

wych. Zręczność rzeczywiście wielka, nawet pełna wdzięku artystycznego, ale nie w niej nowego. Współce z teatrem Rappo byłiby na swoim miejscu, oddzielnie tracą na zajęciu. Krzątania wreszcie około tanich kuchni nie ustaje, nie brakuje i składek na nie i zacnych ludzi co się zajmują ich urządzeniem.

Do Natalji.

(ofiarując jej kwiat jabłoni).

W tej pożegnania chwili żalostnej,
Jakiż Natalko dam tobie kwiatek?
Czy pyszną różę, koronę wiosny?
Czy wzrosły w polu modry bławatek?

Rózy podobne krasą twe lica.
Lecz ja dziewczeczko nie dam ci róży.
Prawda że wdziękiem oczy zachwyca.
A czyż się oprze gradom i burzy?

Za różą gonią motylów roje.
Znęcone krasą uroczej woni.
Ja wolę jednak o dzieci moje.
Tobie poświęcić ten kwiat jabłoni.

Błogo on strzechy raduje nasze,
Kiedy na słońcu stopnieją lody.
Pod nim gniazdeczko uściela ptasze.
I pszczoła z niego słodkie ssie miody.

A gdy wiatr wstrząśnie konary drzewa.
I kwiat obleci burzą rozwiany.
Wszakże po burzy zwolna dojrzewa.
Na dnie kielicha owoc rumiany.

Za czezą uładą niech inne gonią.
Tobie Natalko przystało lepiej,
Być tą wspaniałą kiedyś jabłonią.
Co da cię znojnym — głodnych pokrzepi.

S. D.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Historja Święta starego i Nowego Testamentu, oraz dzieje apostołskie, potocznie opowiedziane. Ozdobione 64 drzeworytami. Warszawa 1864 r.

Jestto odbitka z dawniejszego *Przyjaciela Dzieci*; poprawnym językiem napisana i ozdobiona licznymi drzeworytami, stanowi bardzo pożyteczną książkę, przewyższającą o wiele liczne tego rodzaju publikacje, w których najczęściej styl niegodziwy, a drzeworyty potworne. Książka ta ładnie oprawna kosztuje 75 kopiejek i wybornie na podarek kolendowy służyć może.

O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyjskiego u narodów słowiańskich. W dodatku excerpta serbskie z praw rzymsko bizantyjskich. Wyłożył, objaśnił i wydał R. Hube. Warszawa 1868 r. in 8.

Mała ta książeczka treścią swoją starczy za niejedno kilka tomów dzieło. Dla prawników wielkiego jest znaczenia. Uczony autor ogłaszając drukiem rękopis serbski, zawierający krótki zbiór postanowień przypisywanych cesarzowi Justynianowi, wykazuje wpływ jaki prawa tak wschodniej jak i zachodniej części państwa rzymskiego, wywarły na prawodawstwo ludów słowiańskich. Autor w przedmowie powiada: „Co kiedyś Savigny zamierzał sobie zrobić dla Zachodu Europy, to w skromniejszych rozmiarach, ale jak mam przekonanie w pełniejszej mierze, daję dla ludów słowiańskich“.

Grecja starożytna i jej sztuka, zwłaszcza rzeźba. Napisał Józef. Kremer. Poznań 1868 r.

Komuż nieznanie dzieła Kremera, kto nie czytał jego Listów z Krakowa tak poetycznie napisanych.

Nie wspominamy o filozoficznych pracach tego zasłużonego męża, bo każdemu wiadomo, że jemu zawdzięcza nasza literatura jasne i dostępne przedstawienie filozofii niemieckiej, mianowicie też systematu Hegla, którego Kremer był uczniem, i zwolennikiem. Obecna praca naszego zasłużonego filozofa jest streszczeniem odczytów estetycznych, mianowanych w krakowskiej szkole sztuk pięknych. Starożytna Hellada tak przeważny wpływ wywarła na cywilizację Europy, a zatem całego świata, że studiowanie jej filozofów i poetów nie przestanie być ożywcem źródłem, z którego długo jeszcze czerpać będziemy. Sztuki piękne, a w szczególności rzeźba tak wysoko rozwinięta w Grecji dostarczyły profesorowi wątku do wygłoszenia wielu prawd estetycznych, które znać powinien nie tylko artysta, ale każdy wykształcony człowiek. Książka pana Kremera miłą jest niespodzianką, wśród posuchy obecnej naszego piśmiennictwa.

O UBIORACH.

Paryż d. 2 Stycznia 1869 r.

Teraźniejsze ubrania tak są dziwnie skomplikowane, że niepodobna prawie opisać ich dokładnie, bez dołączenia rysunku. Ale za to tak wielka panuje w nich różnorodność, że dosyć jest pochwycić ogólny ich charakter, w szczegółach zaś zostawiona zupełna dowolność — każdy może stosować je do gustu i potrzeby.

Zdarzyło nam się w tych dniach, widzieć w teatrze opery włoskiej kilka bardzo pięknych toalet. Wiadomo że paryżanki, ubierają się do opery jak na bal, lub przynajmniej jak na proszony wieczór. Łoże pierwszego i drugiego piętra i galerje przed temiż łozami, wyglądają istnie jak ogród pełen kwiatów.

Jedna z młodych mężatek miała śliczną suknię atlasową w kolorze jasno popielatym. Suknia ta długa — powłóczysta, z jedną tylko spódnicą, miała naszyte u dołu trzy wolanty w znacznych od siebie odstępach. Pomiedzy wolantami, szła dwa razy woda, z tiulu jedwabnego w tymże samym kolorze. Wolant u samego dołu, miał blisko pół łokcia szerokości, wyższe zwały się stopniowo. Stanik wycięty cały pokryty był tiulem jedwabnym, przemarszczonym w bufki, pasek spięty był z tyłu na rozetę atlasową. Z pod rozety spadały trzy szerokie a krótkie końce atlasowe, pokryte bufowanym tiulem, objęte białą blondyną. Końce te podwinęte w górę tworzyły jakby baskinę, sięgały one tylko do najwyższego wolantu. Rękawy długie tiulowe, przepinane były w bufki atlasowymi rulonikami. Włosy ułożone à la Berthe związane wysoko, tworzyły dwa koki z warkoczów spadające na tył głowy. Nioby do tego podwójne jedne zaczesane w górę od skroni, drugie karbowane, zachodziły na czoło. Nad niobami upięty diadem z róż w dwóch kolorach, amarantowym i blade-różowym z liśćmi.

Młoda osmasto letnia panią, miała suknię białą tarlatanową o dwóch spódniczkach. Pierwsza spódniczka miała u dołu dwie falbanki tarlatanowe, wystrzygane w żabki. W odstępach szły kokardy białe atlasowe, które podnosiły w górę wyższą falbankę. Druga spódniczka zakończona po prostu falbankami, podpięta była z obu stron na wielkie rozety atlasowe. Szarfa z białej wstążki — spadała z tyłu w trzy pękły, tworząc baskinę. Włosy blond rozpuszczone i zwinięte w loki, pokrywały plecy i ramiona. Nad czołem krótkie nioby skarbowane, przyciśnięte były opaską z zielonej atlasowej wstążeczki. Jedna kokarda szła nad czołem, druga z lewej strony koło ucha.

Trzecie ubranie składało się z sukni białej muszlinowej z szerokim na łokieć wolantem, z wypuszczoną główką. Na to szła baskina-Camargo, roztwarta z przodu, tworząca trzy buffy, podpięte po bokach, z materji zielonej w pasy złotego koloru. Takież szelki ogarniowane koronką, przechodziły przez ramię. Szarfa krótka spadała z tyłu. Ubranie głowy tworzył wielki kok natapirowany i upięty wysoko. Nad niobami, przechodziła opaska złota.

Z pomiedzy kostiumów wizytowych podobał nam się bardzo czarny aksamitny, złożony ze spódniczki

gładkiej, i z krótkiej gabryeli, spiętej z przodu narząd atlasowych guzików. Gabryela ta z przodu przypadała do figury z tyłu była zupełnie wolna. Od obudwóch boków, szły szarfy czarne atlasowe przewiązane w tyle na kokardę. U dołu gabryela ogarniowana koronką, podnosiła się z obu stron na czarne atlasowe rozety.

Dodajemy tu uwagę, że pierwsza spódniczka była jedwabna, obłożona tylko u dołu aksamitem tak wysoko, jak ją widać było z pod gabryeli.

Kapelusik do tego amarantowy aksamitny, z takimiż szarfami — przybrany blondyną białą — ślicznie dopełniał ubrania. Najwięcej widać okrywek zimowych, w formie wolnego paletota, zakładanych z przodu na bok. Strojniejsze robią z aksamitu — okładane wązko tumakami, nurkami albo szenszylą. Okrywki te służą dla osób starszych, dla młodych, bywają okrywki takie bez obłożenia futzanego.

Uważaliśmy ładne mufki futrzane, w formie worka, z szeroką klapą, pod którą jest kieszeń na chustkę i inne drobnostki. Mufki te zawieszają na szyi, na sznurku jedwabnym. Robią je z futra lub z aksamitu obłożonego futrem.

Biżuterje noszą w ogóle bardzo fantastyczne przedstawiające częstokroć kwiaty, chrząszcze, a nawet jaszczurki i żabki. Koleczki najmodniejsze w formie wielkiego koła, niekiedy otoczone gwiazdkami. Noszą wiele złotych naszyjników w rozmaitym rodzaju, lub też po trzy sznurki bursztynów, korali lub ametystów. Bardzo też modne medaljoniki zawieszane na łańcuszku albo na aksamitce. Guziki do rękawów używane powszechnie bardzo wielkie.

Portmonetki i neserki najmodniejsze ze skóry zielonej w seledynowym odcieniu.

S. z Ż. D.

Nowości zagraniczne.

Petit Courier des dames.

Dzisiejsza moda pozwala na mieszanie dwóch kolorów, których dotąd nie pozwalano sobie mieszać. Mieszają naprzykład kolor różowy z karmazynowym. Do sukni blade-różowej przyjęte róże i kokardy karmazynowe — przeciwnie zaś do sukni karmazynowej (rouge antique) noszą girlandy z róż blade-różowych lub też mieszanych w dwóch kolorach. Na portretach z czasów Ludwika XV widzimy podobną mieszanie kolorów.

Kostiumy szafirowe pluszowe i aksamitne, ubierane bywają atlasem miedzianego koloru. Kolor ów miedziany należy dziś do najmodniejszych — suknie czarne jedwabne ubierają też materją lub atlasem koloru miedzianego.

Bardzo też modny kolor seledynowy, zwany vert Meternich — tak w jasnym jak i w ciemnym odcieniu. Kolor morelowy przyjęty do wielkiego ubrania.

Modes Parisiennes. Suknie w guście z czasów Ludwika XV należą do najmodniejszych. Śliczną była taka suknia w dwóch kolorach: popielatym i niebieskim.

Pierwsza spódniczka popielata powłóczysta, miała u dołu wolant fałdowany, wycięty w wilcze zęby, zakończony rulonikiem niebieskim atlasowym. Na to szła druga spódniczka, z niebieskiego atlasu, podpinana po bokach i rozniesista, ogarniowana falbaną atlasową. Stanik niebieski przymarszczony był w koło — od pleców spadał wielki fałd zwany Watteau, sięgający do dołu spódniczki — cały ten fałd przybrany był kokardkami w odstępach.

Inna suknia fioletowa jedwabna w zielony groszek, miała u dołu wycięte zęby okrągłe, objęte zielonym rulonikiem i wązka frendzelką. Z pod tych zębów spadała fałdowana falbanka. Stanik gładki, spinał się na zielone guziki. Od stanu spadała baskina zaokrąglona z boków, przybrana odpowiednio. Zielona atlasowa szarfa związana z tyłu, przechodziła przez tę baskinę.

Do numeru dzisiejszego dołącza się arkusz z krojami, należący do Numeru 1-go, rycina zaś Paryzka z powodu opóźnionego jej nadesłania, dodaną zostanie do następnego numeru.